

TWARDYCH PRZEMIENIENIE

MARGINESY

COPYRIGHT © Szczepan Twardoch

COPYRIGHT © FOR THE AFTERWORD BY Sebastian Rosenbaum

COPYRIGHT © BY Wydawnictwo Marginesy, Warszawa 2026

*Oči máme po otcích
a vlasy po matkách
ale jsme napůl sirotci
a napůl děti všech
hledáme jména na náhrobcích
a jiných památkách
my bezprizorní my umístění
v betonových internátech*

Jaromír Nohavica
Svátky slunovratu

PROLOG

– Niezła chata, nie? – powiedział gruby facet w lateksowych rękawiczkach, rozglądając się po mieszkaniu. – Się dorabiają na moherowych rentach, katabasy.

– Zawrzyj mordę, Bańczyk – warknął komisarz. – Nie chce mi się słuchać twojego esbeckiego pierdolenia. Jest śledztwo, trup z dziurą w głowie, łuska na podłodze i narzędzie zbrodni. Szukaj odcisków, a nie pierdol mi tu Urbanem, dobra?

Bańczyk mruknął coś pod adresem wyszczekanego gnojka, ale wziął się do roboty. Komisarz Świetlik nie cieszył się popularnością ani wśród kolegów, ani wśród podwładnych, bo, jak sam mówił, nie znosił milicyjnej mentalności. Komisarz Świetlik był nowoczesnym policjantem. To nie przysparzało mu przyjaciół.

Komisarz nie obawiał się jednak o swoją pozycję. Był od nich wszystkich lepiej wykształcony, miał dobre układy z pismakami i mocne plecy w komendzie, a nawet, dzięki koledze z roku, w ministerstwie. Nie fikną mu.

Trup należał do świętej pamięci księdza Piotra Ponińskiego. Komisarz Świetlik czytywał czasem „Tygodnik”, więc kojarzył nazwisko. Młody, inteligentny, habilitacja w drodze. Poglądy, jak na kapłana, często kontrowersyjne, z tymi moherami to Bańczyk nie trafił, bo *padre* dyrektor prędzej zjadłby własne okulary, niż wpuścił takiego księdza jak Poniński do swojego radia.

Tak się dobrze zapowiadał, a teraz już się nie zapowiada. Policjant wyciągnął z kieszeni lateksowe rękawiczki, naciągnął je na dłonie i przystąpił do wstępnych oględzin.

Trup siedział na fotelu; stopy równo spoczywały na podłodze, głowa była odchylona do tyłu, usta otwarte. Świetlik spojrzał na pistolet i łuskę – dziura miała średnicę 7,62 milimetra. Pistolet leżał obok fotela, tak jakby po strzale wypadł z ręki księdza. Świetlik mógłby się założyć, że na spluwie będą odciski Ponińskiego, ale jakoś nie był przekonany do samobójczego charakteru tej śmierci. No bo kto, chcąc się zabić, strzela sobie dokładnie w środek czoła, jakby zamierzał pistoletem namalować indyjską tilakę? Z drugiej strony jeśli ktoś chciał upożorować samobójstwo, dlaczego zrobił to tak głupio? Byle dureń przecież księdza nie zabija ot tak sobie. Rabunkowe tło jest wykluczone, na biurku stoi biały mac, wyglądający na dobre kilka tysięcy, ksiądz ma na przegubie ostentacyjnie drogi zegarek, Longines de Ville, w szufladzie Bańczyk znalazł portfel, w nim tysiąc złotych. Trzeba mu patrzeć na ręce, żeby nie zwinął. Zbrodnia kochanków mogłaby to być, owszem, ale jaki pedzio kochanek nosi w Polsce takiego ślicznego srebrzystego Walthera bez żadnych numerów? Policjany nos podpowiadał Świetlikowi, że w bazie danych tej giwery nie będzie. Klasyczny „czyścioch”, wyniesiony w częściach z fabryki, rzecz nijak niepasująca do zbrodni w afekcie. Broń profesjonalisty.

Obszukał trupa w poszukiwaniu komórki i innych drobiazgów. Telefonu nie znalazł, w kieszeni marynarki wymacał za to niewielki podłużny kształt, który okazał się cyfrowym dyktafonem Sony. Świetlik nacisnął przycisk „on” i nic się nie stało, jakby urządzenie miało całkowicie wyczerpane baterie. Dreszcz podniecenia przebiegł komisarzowi po plecach. Czyżby ksiądz Poniński nagrał własną śmierć?

– Co tam macie, panie komisarzu? Dyktafonik, co? – zapytał Bańczyk, przyglądając się srebrnemu pudełku w pokrytej lateksem dłoni przełożonego.

– Gówno – warknął Świetlik, bo nie znosił starego technika, schował dyktafon do plastikowej torebki, wstał, zebrał swoje rzeczy.

– Na dziewiętnastą chcę mieć raport – zakomenderował.

– Na dziewiętnastą jutro czy w poniedziałek? – zapytał drugi technik, do tej pory zajęty omiataniem tafli lustra miotełką.

– Na dziewiętnastą dzisiaj, Orządała. Cały dzień przed wami. I od razu mówię, chuj mnie obchodzi wasza żona i dziecko. Zrozumiano? – rzucił i wyszedł.

Po drodze na komendę wstąpił do kiosku i kupił baterie. W firmie przywitał się z portierem, wspiał po schodach, zamknął w swoim pokoju i nacisnął „play”.

* * *

Piotr Poniński patrzył przez okno na błyszczący po deszczu bruk ulicy Świętego Jana i czuł, jak z każdym oddechem opuszczają go resztki wiary. Upozował się przy parapecie, jak dandys z romantycznej ryciny – łokieć o ścianę, skroń wsparta na dłoni – i przyglądał się, jak przechodnie wysypują się na drogę spod markiz i z knajpianych przedsionków, gdzie schowali się przed ulewą. Strząsają krople wody z parasoli i wracają do swoich pieszych podróży. Parowały granitowe kostki, mokre i rozgrzane upałem. Deszcz wracał, skąd przyszedł, w niebo.

Biurko Ponińskiego przemówiło. Dźwięk był stłumiony przez kolumny książek, o porcelanę spodka i filiżanki zadzwoniła tyżeczka, a cały mebel, potężny, mieszczańsko poważny i stuletni, rezonował jak pudło kontrabasu: to wibrowała leżąca na blacie komórka. Książd podniósł drgający aparat i wpatrywał się przez chwilę w wyświetlacz. Odebrał.

– Tak. Proszę przyjść do redakcji, jestem sam – odpowiedział spokojnie, chociaż wnętrzości natychmiast ścisnęła mu żelazna łapa.

Odłożył telefon, wrócił na miejsce przy oknie; na ulicy pannaował już zwykły o tej porze ruch. Uspokoił się, opanował podniecenie.

W Boga wierzył coraz mniej. Od paru lat z każdym oddechem oddawał część tej wiary. Zaczęło się wcześniej, parę miesięcy po święceniach, najpierw trochę się bał, potem się dziwił, aż w końcu się w swoim niedowiarstwie rozsmakował i odnalazł w nim intelektualną podniętę.

Dziewczyna w niebieskiej sukience szła po bruku, boso, ostrożnie stawiała opalone stopy, letnie sandałówki niosła w ręku. Była bardzo rasowa, miała piękne biodra, strzeliste piersi i dobry gust, ale szybko zniknęła za zakrętem.

Popatrzył jeszcze chwilę, przeszło dwóch zmokniętych policjantów w brzydkich, workowatych mundurach, potem grupa mężczyzn – siwiejące włosy, złote oprawki okularów, pastelowe sweterki zarzucone na ramiona, śniada cera. Włosi albo Hiszpanie, *CEOs on a business trip*, rano *business meeting*, a po południu zwiedzanie miasta. Pewnie śpią w Copernicusie albo innym hotelu z pokojami po tysiąc złotych za noc i żrą na kolację policzki wołowe duszone w kakao na purée ziemniaczanym czy coś równie wyrafinowanego. Poniński nagle zrobił się głodny, poszedł więc do redakcyjnej kuchenki i sprawdził, co jest w lodówce.

Wbrew myślom o wyrafinowanej *cuisine* nabrał ochoty na kanapkę z pomidorem. Odkroił pajdę chleba, przetarł ją serkiem topionym i skroił pół wielkiego pomidora o nieregularnym kształcie – przynosiła je Beata, sekretarz redakcji, podobno z ogrodu dziadka. Były pyszne i słodkie, wątpił, czy jakakolwiek kuchnia mogła zapewnić tak zmysłową frajdę jak ten cudowny

pomidor na świeżym chlebie, z solą, pieprzem i posiekaną czerwoną cebulką. Zjadł kanapkę na stojąco i od razu nabrał ochoty na drugą. Połówka pomidora sama się o to prosiła. W kuchni wisiało lustro, obrócił się bokiem, brzuch jeszcze mu się nie zaokrąglił. Panicznie bał się utyć, tłuszczy ludzie wzbudzali w nim obrzydzenie, miał wrażenie, że ich dusze również toną w spocym sadle, jeśli oczywiście człowiek posiada duszę. Uznał, że dzisiaj może sobie pozwolić na drugą kanapkę, będzie potrzebował dużo sił, ukroił więc kromkę i zmienił resztę pomidora w plasterki.

Nie podchodził już do okna, siadł za biurkiem i otworzył laptopa, by odpisać na zaległe mejle.

Kiedy zapiszczał domofon, kończył właśnie trzecią wiadomość. Skoncentrował się na korespondencji i prawie zapomniał o spotkaniu, więc był nawet odrobinę zaskoczony świergotem elektronicznego dzwonka, ale zaraz wrócił na właściwe tory. Zamknął komputer, podszedł do centralki domofonu i nie podnosząc w ogóle słuchawki, nacisnął przycisk otwierający drzwi. Usłyszał warczenie elektromagnesu piętro niżej, ciężkie drzwi szczęknięły i na schodach rozległy się kroki.

Poniński włączył ukryty w kieszeni cyfrowy dyktafon i wyszedł na klatkę. Wiedział, że wspinający się po schodach człowiek miał dokładnie czterdzieści dwa lata i trzy miesiące, ale widział go po raz pierwszy i był zaskoczony, bo facet wyglądał najwyżej na trzydzieści pięć. Szczupły, szedł sprężysto, miał modną fryzurę i garnitur od Zegny, z ostatniej kolekcji, lniany, dwurzędowy, popielaty. Poniński natychmiast rozpoznał, że to właśnie Ermenegildo Zegna, i pozazdrościł. Świetnie leżał na gościu, wąsko skrojony, podkreślał młodzieńczą figurę, a Piotr Poniński, chociaż nie brakowało mu pieniędzy, ciągle nie mógł wydać dwunastu tysięcy na garnitur. W tym momencie jego za-

zdrość wzrosła jeszcze bardziej, bo uzmysłowił sobie, że skoro człowiek nawet lniane codzienne ciuchy ma od Zegny, to nie jest tak, że rok oszczędzał, żeby kupić sobie jednego Zegnę na specjalne okazje.

Jeszcze przed drzwiami uścisnęli sobie dłonie, Poniński wskazał swojemu gościowi drogę i weszli do środka.

– Czego się pan napije?

– Szklankę wody poproszę – odpowiedział przybyły. Rozejrzał się po pokoju, zaczął wzrokiem o grafiki na ścianach, o biblioteczkę, po czym podszedł do okna. Stał dokładnie w tym samym miejscu, z którego gospodarz zwykł kontemplować życie miasta. Zapatrzył się na ulicę.

Poniński wrócił z kuchni z wodą, wskazał miejsce na fotelu, przy niskim szklanym stoliku. Sam usiadł naprzeciwko.

– A więc słucham, co pana do mnie sprowadza? – powiedział.

– Księżę, muszę księdzu opowiedzieć pewną historię.

Poniński milczał chwilę. Nie znosił tej kastrującej apostrofy, „księżę”, mimo jej staroświeckiego wdzięku. Proszę księdza. Niech będzie pochwalony. Nie nosił przecież koloratki, chyba że znowu ktoś zakapował na niego do kurii i musiał się tłumaczyć biskupowi. Wtedy, owszem, wkładał.

Dawno dały sobie spokój z Kościołem, nie było powodów do obaw – pozycję miał pewną i mocną, zupełnie niezależną od kościelnej hierarchii, był uznanym intelektualistą, redaktorem z prawie gotową habilitacją na zupełnie świeckiej uczelni. Porzucenie kapłaństwa mogłoby być problemem dla jakiegoś diecezjalnego kleszki, który kiedy zrzuci sutannę, zostaje bez środków do życia – bo co może robić były ksiądz? Być byłym księdzem dla takiego wikarego znikąd to społeczny stygmat. Dla potencjalnych pracodawców byłaby to swojego rodzaju perwersja – zatrudnić księdza. Więc nie zatrudniają. Ale to nie jest problem, on jest

w końcu Ponińskim, nawet gdyby nie zrobiona samodzielnie kariera, zawsze ma jeszcze rodzinę i pewność, że za trzydzieści albo czterdzieści lat będzie się znajdował w tym miejscu, gdzie teraz znajduje się Bartoszewski czy inny Niekwestionowany Autorytet. Jest mu to przeznaczone, z racji urodzenia, wrodzonej inteligencji i starannego wykształcenia.

Ale nie porzuci Kościoła. W końcu znalazł się tam nie przypadkiem, nie został księdzem z głupiego kaprysu ani z życiowego nieudacznictwa, zwanego czasem powołaniem. Wytrzyma więc, zniesie to, że traktuje się go czasem jak istotę pozbawioną płci, zniesie nawet to, że uwodzić starają się go tylko takie kobiety, których szczerze nie znosi, miłośniczki koloratek.

– Dlaczego to akurat mnie chce pan opowiedzieć tę historię, panie Szarzyński? – zapytał, przewrotnie, bo chyba znał odpowiedź.

Gość napił się wody, wyprostował w fotelu.

– Jest ksiądz bardzo inteligentny, się ksiądz tego domyśli. Bardzo ważne jest dla mnie, aby ksiądz zrozumiał, dlaczego opowiadam to właśnie księdzu, ale myślę, że nie będziemy mieli z tym kłopotu, zważywszy na księdza bystry umysł – powiedział beznamiętnym tonem, dając pochlebstwom rys szczeroci.

– Dobrze – uśmiechnął się Poniński. – Niech pan mówi, zamieniam się w słuch.

Gość wyjął z wewnętrznej kieszeni mały czarny pistolet. Ksiądz zamarł. Bał się broni. Szczególnie bał się broni w rękach właśnie tego człowieka. Ale nie dał tego po sobie poznać.

– Po co to panu? – zapytał trochę głupio.

– Tego również się ksiądz domyśli, zanim skończę opowiadać – odparł gość.

Zrobił krótką pauzę, usiadł wygodnie, założył nawet nogę na nogę.

– No i co, jakoś nie udało się wam w końcu drugie przemienienie? Nie tak to wszystko miało wyglądać, prawda? – zapytał.

Poniński patrzył na swojego rozmówcę bez emocji.

– Nie mam pojęcia, o czym pan mówi – odparł beznamiętnie i bardzo przekonująco.

– Jak ksiądz woli. Zacznijmy więc od początku. – Gość się uśmiechnął. – Nazywam się Antoni Szarzyński. W roku tysiąc dziewięćset osiemdziesiątym piątym rozpocząłem służbę w Wydziale Czwartym Wojewódzkiego Urzędu Spraw Wewnętrznych w Katowicach, w pionie Służby Bezpieczeństwa.